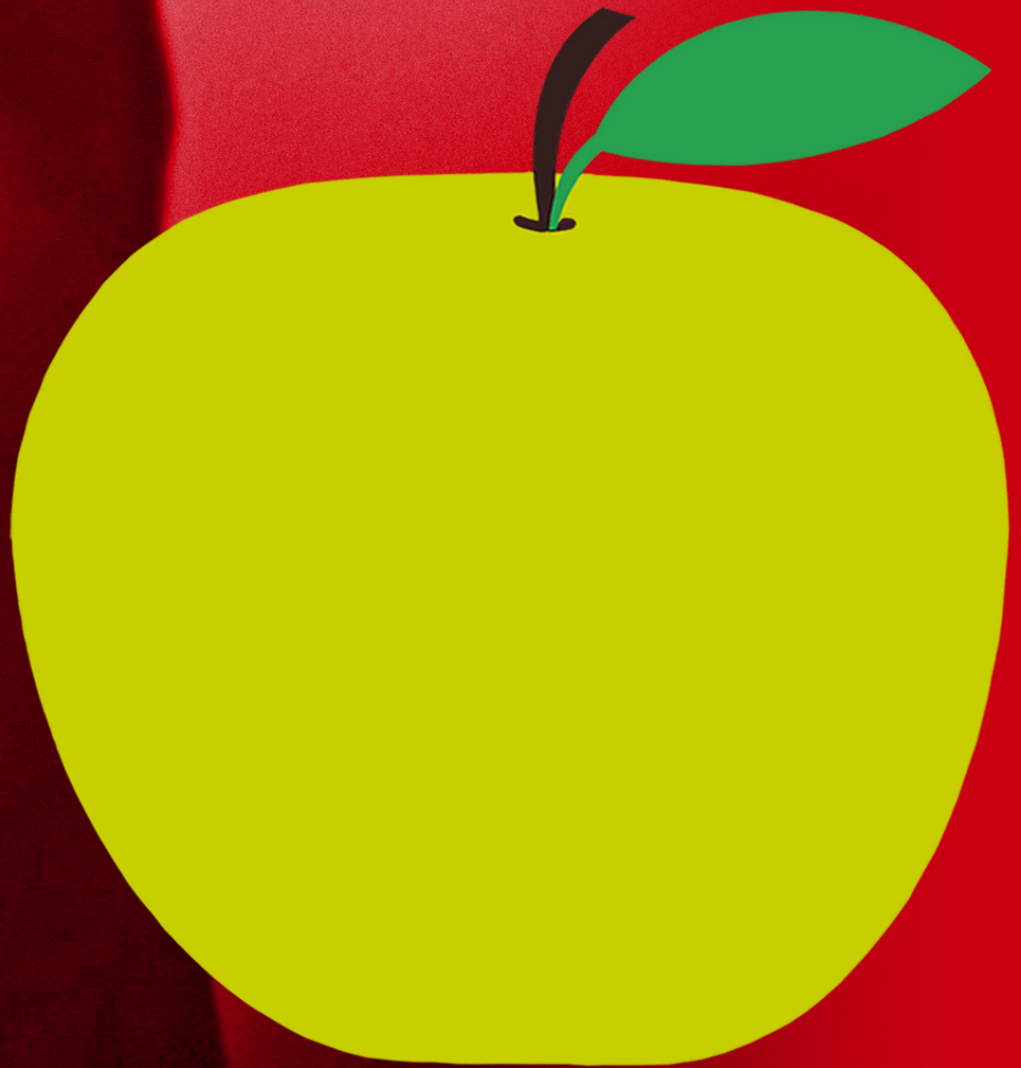


Janusz „Krawiec” Wiśniewski

papierówka

i inne
opowiadania



Janusz „Krawiec” Wiśniewski

PAPIERÓWKA

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-66719-49-1

Copyright © Janusz „Krawiec” Wiśniewski

Projekt okładki: Magdalena Dębicka

Spis treści

[WSTĘP OD AUTORA](#)

[POD JABŁONKĄ](#)

ZESZYT DO ŚPIEWU

KOSZULA

PEDAŁKI

PAPIERÓWKA

STARSZA

MALIGNA

ZRZĄDZENIE

KLIENCI

KUMPLE

PO AMERYKAŃSKU

PROŚBA

SPOTKANIE

BIAŁO-NIEBIESKO

MISTRZOSTWA ŚWIATA 2006

NOC W PASŁĘKU

MAURITIUS

JÓZEF

DZIECIĘCA KOLEJKA ELEKTRYCZNA

FAUX PAS

KOSZ KWIATÓW

PASIERBICA

PSY

ZMYSŁY

DROGA DO NIEBA

RANDKA Z LAURĄ

ŚLIWA

ŚLIWKI

ŚWIERK

LITERATÓW SPOTKANIE

POCIĄG

KONIEC

WSTĘP OD AUTORA

Papierówka – wczesne jabłko, młode, jeszcze nie do końca dojrzałe... Jak Piotrek w opowiadaniu „Pod jabłonią” podglądający z ukrycia, z wierzchołka jabłoni dwie smarkule zafascynowane rodzącym się erotyzmem, seksem... Albo, Piotrek we wczesnych latach socjalistycznego zniewolenia, siedzący w klasie nad przepisywaniem „Zeszytu do śpiewu”... Albo, „Koszula” – opowieść o licealnym wzajemnym zauroczeniu sobą Piotrka i Anity... A opowieść o młodym chłopaku, uczniu krawieckim, decydującym się na samotną podróż autostopem po Polsce, przeżywającym po drodze chwile niesamowitej grozy, ale i... Albo, albo dorosły Piotr rozmawiający z samym Panem Bogiem. Albo, spotkanie na Mauritiusie z Józefem i Elizabeth – czy ta wyspa okaże się dla nich Rajem? A, „Randka z Laurą” – randka starszego pana z na wskroś nowoczesną dziewczyną... A tęsknota za miłością i, powrót do uczuć z przed lat w „Noc w Pasłęku”... A „Kosz Kwiatów” położony na szalę – z koszem zdrad... A, obdartusy – „Klienci” pracowni krawieckiej „Kat. S”... A „Psy” – kto okaże się tu miłszy synkowie – czy ich rodzice? A „Droga do nieba” w którą spec od literatury, próbuje zabrać autora... A „Literatów Spotkanie”, A „Zmysły” A „Śliwki” kochanej teściowej... A, „Starsza” starsza o szesnaście lat... A, A, A... – A, w kończącym opowiadania „Pociągu”, spotkanie z podobnym do autora pisarzem amatorem, któremu również zdawało się, że wsiadł do pociągu, który dowiezie go na sam szczyt literackiej sławy...

Opowiadań jest ponad trzydzieści – przebrniecie przez nie? Przebrniecie przez życie ludzi, którzy różnią się tylko od Was tym że, w powieściowe szaty ubrał ich nie szcędzący fantazyjnej, ale zapewne zgrzebnej materii krawiec-pisarz?

Życzę wytrwałości.

POD JABŁONKĄ

Ta historia działa się jeszcze wtedy, kiedy przedmieścia oddychały swoim prowincjonalnym prawie wiejskim życiem. Niewielkie zagrody, domki-klocki bez architektonicznej wizji, z reguły budowane przy pomocy rodzin i sąsiadów, pełne przyległych do nich drewnianych komórek, w których składowano węgiel lub hodowano zwierzęta – niewiele miały wspólnego z przylegającym do nich miastem. One, jak robak w jabłku, żyły swoim odrębnym jestestwem tworząc niezapomnianą przedmiejską przestrzeń pełną pachnących krzewów bzów, jaśminów, drzew owocowych z gałęziami oblepionymi gruszkami, jabłkami, śliwkami, wiśniami czy czereśniami – owocami o smaku i zapachu już dzisiaj chyba niespotykanym.

Teraz już nie ma takich przedmieść. Wchłonęły je miasta, umieszczając tam swoje zaplecza, bazy transportowe, zakłady przemysłowe, hurtownie. Na zacementowanych placach stoją supermarkety i sypialniane blokowiska okolone parkingami.

Po wojennej zawierusze, kiedy nie było po co wracać do mojej rodzinnej Warszawy, znalazłem się z matką właśnie na tamtym jeszcze starym przedmieściu Słupska. Zasiadliśmy mieszkanie w poniemieckiej willi. Ona jedna – jak wyspa na jeziorze – wyróżniała się wtedy swoją „piękną” architekturą wśród okalających ją zagród, przybudówek i ogrodów. Kiedyś, przed wojną, zapewne zamieszkiwał ją jakiś bogaty Niemiec. Naszą poniemiecką willę właśnie okalała zewsząd taka wyjątkowo bogata, ogrodowa zieleń o której wspominałem już wcześniej, zieleń tworząca bajkową aurę mojego dzieciństwa.

Z matką zajmowaliśmy w tej dwupiętrowej willi mieszkanie na poddaszu. Długi przedpokój, dwa pokoje, małą kuchenkę i jeszcze mniejszą łazieneczkę prawie wszędzie ograniczały skośne ściany dachu, o które nieraz uderzałem głową, ja niespełna dwunastoletni, nie bardzo wyrosnięty chłopiec.

W pokoju, który uważaliśmy za naszą sypialnię, w jednej ze ścian, w kącie, znajdowały się małe zamaskowane drzwiczki, przez które po schyleniu się i przeciśnięciu, wchodziłem w ciemne, pełne tajemnic zakamarki strychu. Tam wśród drewnianych stropów, wśród belek popękanych od starości, wśród ciemnych zakamarków znajdowałem co rusz to inne skarby – pozostawione zapewne przez niemiecką rodzinę, korzystającą jeszcze przed wojną z tego poddasza.

W tym zaczarowanym, tajemniczym świecie strychu przesiadywałem coraz częściej, szczególnie w słotne jesienne i zimowe dni. Wtedy, nie wiedząc dlaczego, przychodziła mi do głowy zabawa w ukrywające się tam żydowskie dziecko. Widocznie mimo lat, jakie upłynęły od zakończenia wojny, w naszym domu nie zatarły się jeszcze wojenne odgłosy, opowieści o grozie wojny.

Bywało, że w tych zimnych, ciemnych czeluściach strychu przebywałem całymi godzinami, markując, udając ukrywającego się przed wymagowanymi esesmanami i żandarmami żydowskiego chłopca. Początkowo przyświecało mi w mojej kryjówce wątle światło świeczki. Po pewnym czasie, wszedłem w posiadanie zielonej, prostokątnej latarki z trójkolorową zmianą filtrów. Ta wojskowa, chyba poniemiecka latarka, za którą musiałem oddać kumplowi po wielkich targach parę moich drogocennych skarbów, zasilana była płaską baterią. Niestety, z biegiem czasu latarka zaczęła świecić coraz marniej, a i dotykane językiem blaszane przewody baterii, drażniły mnie z dnia na dzień coraz mniejszym, mniejszym smakiem ginącej energii. Kupienie nowej baterii w tamtych czasach, niestety nie było dla mnie łatwą sprawą.

Do mojego królestwa, do mojej kryjówki ciągle znosiłem zdobyczne, drogocenne dla chłopca, wtedy chyba dwunastolatka – przeróżne przedmioty i sprzęty. Trudno by je było nazwać zabawkami, skoro miałem tam dwa prawdziwe bagnety niemieckiego żołnierza, dwie szable – w tym jedną kompletną z pochwą! Szczyciłem się też skórzaną kaburą na pistolet, w

której nie bardzo chciał mi się mieścić prawdziwy „pistolet-rakietnica”, a hełm niemieckiego żołnierza po założeniu na moją małą głowę, prawie zakrywał mi oczy. Bywało też, że próbowałem nastraszać mamę, wyskakując z krzykiem z mojej kryjówki w masce przeciwgazowej. Pamiętam wiele, wiele innych drobniejszych „zabawek”, takich jak niezliczone ilości niemieckich srebrnych monet, łuski po nabojach, a nawet pełne naboje.

W naszym mieszkaniu nie mieliśmy spiżarni, a o lodówce w tamtych czasach nawet nikt nie słyszał. Właśnie w mojej dachowej skrytce (niedaleko wejścia, żeby było pod ręką) mama przechowywała żywnościowe zapasy. Półki starej szafy bez drzwi, były pełne słoików z zaprawami; kompotami, zakonserwowanymi ogórkami, marynowanymi grzybkami. Nieraz, kiedy powodziło się nam odrobinę lepiej, na półkach można było dostrzec rybne puszki typu „Makrela w sosie pomidorowym”, lub „Śledź w oleju”, bywało, że zdarzała się i „Mielonka wojskowa”. Obowiązkowy zapas stanowiły też woreczki z makaronem, kaszą, cukrem, mąką. Nie zapomnę też chyba nigdy wtulonego w kąt komórki worka z lnianego białego płótna zawsze pełnego sucharów (chleb pszenny lekko podpieczony). W domu nigdy nie wyrzucaliśmy nawet najdrobniejszego kawałeczka chleba. Moja mama przezornie przypominała: „Nigdy nic nie wiadomo... Na wszelki wypadek... Wiesz, jak nam brakowało kawałka chleba podczas wojny, w Warszawie, podczas Powstania...”. Zakodowana wojną bojaźń matki trwała jeszcze długo, długo. Mama nigdy nie zapomniała głodu z czasów, kiedy chowaliśmy się przed bombami, przed Niemcami w piwnicznych gruzach rozwalających się domów Powiśla.

Dużo głębiej, w zakamarkach stryżku, również i ja ukrywałem swoje osobiste żywnościowe skarby: Torebki oranżady w proszku, wyprodukowane własnoręcznie przeze mnie cukierki (cukier i masło, rozpuszczone na patelni z jakimiś smakowymi dodatkami), czy suszone owoce.

Tak, zakamarki strychu, były moim tajemniczym schronieniem przez wszystkie jesienne szarugi i zimowe długie wieczory.

W upalne dni lata ważniejsze jednak było podwórko i otaczająca nas dzieci zieleni ogrodów. Szczególnie owocowe drzewa u sąsiadów nęciły, kusily całą zgrają z ulicy Przemysłowa. Cudownie było przebywać z ferajną kumpli i płaczącymi się wśród nas dziewczynami w rozkołysanej wiatrem zieleni, w przenikających przez gałęzie drzew promieniach słońca.

Zbliżał się wieczór. Słońce już dawno schowało się za wierzchołkami drzew. Mimo zmierzchu, tylko mnie nikt nie przywoływał do domu. Nie czekała na mnie rodzina, gorąca kolacja. Nikt też nie przypominał mi o nieodrobionych lekcjach, o przygotowaniu się do szkoły na jutro. Matka rzadko kiedy miała dla mnie czas. Pracując na portierni w fabryce, często brała ponad godziny, gdyż z trudem wiązaliśmy koniec z końcem. Byłem pozostawionym na pastwę losu urwisem bez ojca, nie zawsze wiedzącym, co ze sobą począć przez długie dni lata.

W zasnuty ciemnymi chmurami schyłek wieczoru, kiedy już wszystkie dzieci były w swoich mieszkaniach, otulone ciepłem rodziny – ja błakający się po podwórku samotny gówniarz, nie wiedząc co mam ze sobą począć, wdrapałem się na sam szczyt wyjątkowo dużej, wysokiej jabłoni, rosnącej na podwórku, nieopodal naszej willi. Przez ramię miałem przewieszony zwój grubych sznurów. Jeśli oglądaliście Tarzana to dobrze wiecie, po co się wdrapywałem na sam wierzchołek i, że to nie był żaden tam sznur do wieszania bielizny, ale najprawdziwsze liany, po których miałem się wspinać, huścić na nich i po nich zjeżdżać z rozmachem w dół – naturalnie dziko przy tym wyjąc i krzycząc. Już, już umocowałem sznur na jednym z najwyższych konarów, już szykowałem gardło do wycia na całe przedmieście, już miałem jak Tarzan rozhuśtany ześlizgnąć się na lianie ku dołowi, gdy...

Dobrze je znałem – dziewczyny z podwórka. Asia mieszkała na parterze tej naszej dwupiętrowej, poniemieckiej willi. Jej rodzice prowadzili drogerię. Najpierw, zaraz po

wojnie, swoją własną, a potem szybko przemianowaną na państwową. Stanowili zamożną, kulturalną rodzinę z mieszkającą z nimi i trzymającą ich wszystkich w ryzach babcią. Nieraz babcia mnie, pozostawione na pastwę losu głodne dziecko, zapraszała na obiad. Z jednej strony wstydziłem się o rok starszej ode mnie Asi, zresztą wstydziłem się ich wszystkich, ale z drugiej strony głód...

Asia była zawsze czyściutko, schludnie i z gustem ubraną dziewczynką. Miała też ładną, rumianą buzię, a jej dwa blond warkoczki upstrzone kolorytem kokardek, przykuwały wzrok nas wszystkich chłopaków z przedmieścia. Asia na mnie, sąsiada, gówniarza o rok młodszego od siebie, w dodatku „sieroty”, nie zwracała specjalnej uwagi. Żałowałem, bo i mnie podobała się bardzo i chyba... byłem w niej tak jak i inni moi kumple zakochani.

Druga – Zosia, mieszkała na piętrze. Była w moim wieku. Chodziliśmy do tej samej szkoły, do czwartej klasy, tylko, że ona do a, a ja do b. Ojciec Basi był jakimś ważnym dyrektorem, a matka nauczycielką matematyki w pobliskim ogólniaku. Zosia miała też dużo starszego brata, na którego ich matka skarżyła się nieraz do mojej:

– Mam utrapienie z tym moim Jarkiem. Sprowadza do domu jakieś zdziry, a żenić się z porządną nie chce...

Dwudziesto dwu letni Jarek, kiedy mnie tylko spotkał, wyciągał z kieszeni portek, papierową paczkę z papierosami i, zadawał mi ciągle to samo pytanie:

– No... palisz już w końcu glucie, czy jeszcze nie? – robił mi przy tym „blachę” w czoło. Mimo, że trochę to uderzenie mnie bolało i czoło miałem potem czerwone – jakoś nigdy nie próbowałem robić uniku. Lubilem go, imponował mi. Jarek miał motocykl! Motocykl na którym zawsze z pędem wjeżdżał na podwórko i z rozmachem hamował tuż przy nas. Na tylnym siedzeniu często siedziała coraz to inna „zdzira”, z którą zamykał się w przygotowanej piwnicznej komórce nazywanej przez niego gabinetem. Próbowałem nieraz podglądać przez szczeliny zasłoniętego piwnicznego okna, albo przez dziurkę w drzwiach, co też ten Jarek wyrabia ze sprowadzoną do „gabinetu” zdzirą, ale... Tak czy inaczej chciałbym mieć takiego brata! – Niestety, siostrą Jarka była Zosia chuda do granic, jedenastoletnia dziewczynka. Przeżywaliśmy ją „Wrona”. Miała tak jak jej brat kruczoczarne włosy i śniadą cerę. Nieraz, kiedy była zdenerwowana, zacinała się. To nie było jakieś tam jąkanie, ale na przykład, kiedy raz przydarzyło się, że złapał nas właściciel ogrodu, u którego byliśmy na pachcie – Zosia ze strachu nie umiała wypowiedzieć swojego nazwiska, o które zapytał ją rozdrażniony facet.

– Kra... kra... kra... ińska – zakrakała wtedy jak wrona.

Tak więc, siedziałem ukryty w konarach jabłoni, na najwyższej z gałęzi, z zamiarem tarzanowania, gdy nie wiedzieć skąd podbiegły pod nią, nikogo niespodziewające się o tym czasie i w tym miejscu na czubku jabłoni Asia i Zosia.

– Ale przysięgnij! Przysięgnij, że nikomu nie powiesz... Że to będzie nasza, tylko nasza tajemnica!

– Przysięgam! Przysięgam na naszą przyjaźń, na wszystko! Na Boga! – Wiesz, przecież – jesteś moją najlepszą przyjaciółką!

– Widziałam Jarka z jego zdzirą. Robili to... Myśleli, że nikogo nie ma w domu. On stał ze spuszczoneymi spodniami, ona klęczała przed nim... Całowała go w... A potem, Jarek posadził ją na stole i... też całował ją... no wiesz... tam, tam...

Moja pozycja na gałęzi jabłoni była idealna. Siedząc w bezruchu, słyszałem wszystko, mimo, że ich szept był coraz cichszy. Widziałem też, jak Zosia zadarła perkalową sukienkę Asi i włożyła rękę w jej majtki.

– Tu, tu jej go wciskał... Był duży...

– Był duży? Przecież to niemożliwe... Przecież my mamy małe pipki... Pokaż, zobaczę twoją... – Chcesz? Popatrzymy sobie...

Na przemian pomogły sobie zdjąć majtki i uklękawszy naprzeciw siebie uniosły do góry sukienki. Potem, usiadły na zdjętych majtkach i rozwarły podgięte w kolanach nogi.

– Ale masz czarne włoski – jak moja mama – powiedziała Asia. – Ja jeszcze mam meszek – dodała jakby z żalem.

– Ale taki miły... – jak aksamit. Hi, hi, hi – dotykając łona Asi, chichotała Zosia.

– To straszne, żeby w taką małą dziurkę jak ty masz, wpychać coś wielkiego... Zdziry chyba mają większe, dlatego Jarek tak ugania się za dzzirami.

– On też mi się podoba, ale na mnie nigdy nie zwraca uwagi – ciszej, i jakby z zawstydzeniem, ale i z nutką żalu w głosie Asia poskarżyła się siostrze Jarka.

– Widziałaś kiedyś nagiego mężczyznę? – zapytała Zosia.

– Nie... Chyba raz tatę... – Ale, nieraz słyszę, jak oni w łóżku jęczą, stękają... Oni wtedy to robią, łóżko trzeszczy...

– Wszyscy starsi to robią – z pewnością w głosie zapewniła Zosia.

– Ale, mówisz, że Jarek ją tu całował...? – Asia włożyła rękę pomiędzy uda przyjaciółki.

– No... chcemy też spróbować? Pozwolisz mi, pocałować cię tam?

– Nie, to może być grzech.

– To, tylko ja tobie. Jak ty nie chcesz mnie, jak się boisz, to nie. – To tylko ja tobie, dasz? – Daj, daj... – z coraz bardziej budzącym się zapałem nalegała Zosia

– Ale ja...

– Zosiu! Zosiu! Do domu! Kolacja! W tej chwili!!!

Minęły lata... Jarek, brat Zosi, już nie podjeżdża motorem z siedzącą z tyłu dzzirą na podwórko poniemieckiej willi. – Jarek ożenił się i wyprowadził na inną ulicę.

Również, nie mieszka już w willi Asia. Asia studiuje na gdańskiej politechnice i mieszka w akademiku.

– A Zosia? – Zosia jest ładną panią, ekspedientką sprzedającą słodczyce w słupskim sklepie i, teraz...

Zosia w modnej, rozkloszowanej mini spódniczce zawiniętej z przodu tak, że aż widać białe majteczki, zawiniętej po to, żeby nie wypadły z niej zerwane jabłka czeka, czai się pod jabłonką – niczym Ewa kusicielka z Raju na Adama. Zosia czeka, czai się bo, spodziewa się, że on w końcu, wyjdzie z domu...

W tym czasie, będący na przepustce, młodzieńcy żołnierzyk, zbiega po krętych schodach. Jest już na podwórku...

– Piotrek! Piotr! Zaczekaj! – Poczęstujesz się? – To są jabłka z naszej podwórkowej jabłonki. Spróbuj, spróbuj – bardzo smaczne...

Piotrek, ten z natury bardzo nieśmiały Piotrek – nagle nie wie sam, jak to się dzieje że... Jabłka wypadają z fartuszka Zosi, a oni... spleceni namiętnością...

Stara jabłoń, co nie jedno w życiu widziała, jeszcze, jeszcze bardziej pochyliła swoje zmurszałe konary by... W jesiennym, złotawym listowiu, ukryć przed całym światem miłość.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI